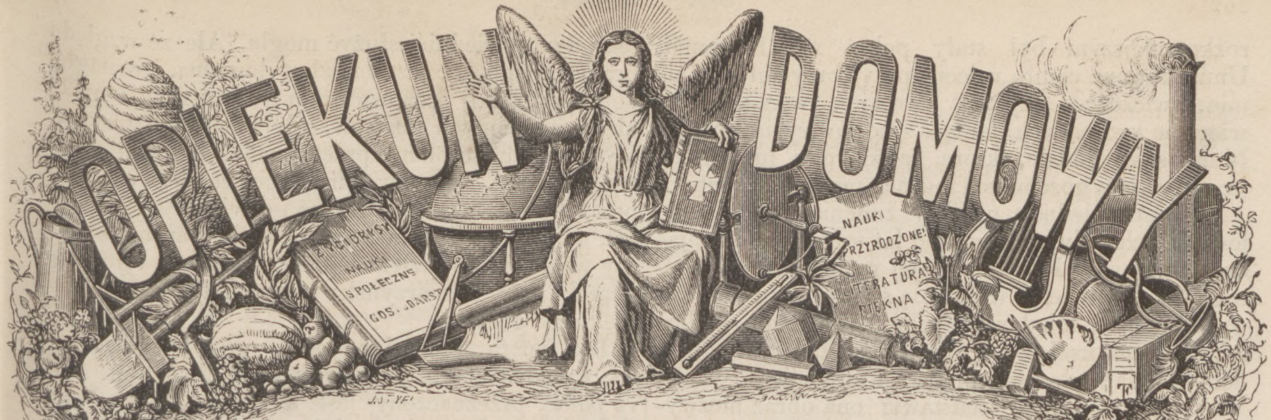


Warszawa dnia 28 Czerwca 1865 roku.

Nr 26. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

FLORENCJA

NOWA STOLICA WŁOCH.

Jeżeli zapytacie Włochów, jakie jest najpiękniejsze miasto ich Ojczyzny, niezawodnie każdy, stosownie do okolicy z którój pochodzi, wychwalać będzie inne. Ten Neapol, popierając się narodowem przysłowiem, inny Rzym starożytny lub morską Wenecję... Argumenta posypią się z całą żywością i gestykulacją właściwą synom południa. Jeden tylko Florentczyk, z spokojnym uśmiechem na ustach, w harmonijnéj swéj mowie, zawezwie abyście zwiedzili jego „piękną Florencję” (La bella di Firenze).



Florencja.—(Rysował Kozarski—wyciął na drzewie Gorazdowski).

Rzeczywiście ze wszystkich miast Włoskich, naj-

rozkoszniejszym był stały pobyt we Florencji. Umiarkowane ciepło w lecie, przyjemny chłód w zimie, świeżość i czystość powabna, woń kwiatów wiecznie kwitnących, taniość środków życia, ściągały mnóstwo rodzin, które część roku lub dłużéj przebywały w gościnnych murach tego miasta sztuki.

Wszystko jednak niestety zmienia się teraz; bo losy Włoch, tylu zmianom od lat sześciu podlegających, wyrwały Florencję z jéj rozkoszno-drzemiącego bytu, na wielką widownię świata. Skutkiem zawartéj umowy między Francją i Włochami, stolicę tego nowego królestwa przeniesiono z Turynu, gdzie dotąd istniała, do owéj pięknéj Florencji.

W téj chwili już przedstawia ona obraz niezwykłego ruchu i ożywienia; przybywa bowiem miastu nie mało nowych mieszkańców, których trzeba pomieścić. Głównie przenosi się dwór i wszystkie władze państwa naczelne, tak parlament jak i ministerja. Łatwo pojąć, jak wielkich to zmian w samem mieście wymaga, jak obszerne prowadzą się roboty, nad urządzeniem tylu nowych biur i gmachów. A przecież Florencji niebraknie na najpiękniejszych świątyniach, arcy-dziełach sztuki budownictwa i wspaniałych pałacach.

Za dawnych czasów Rzeczypospolitéj, Florencja była małym, ale drogocennym już brylantem włoskiego półwyspu. Przyparta do murów najznakomitszego swego zabytku, starożytnéj katedry, odgrodzoną była od dawniejszych łagunów rzeki Arno, pięknemi łąkami i ogrodami. Było to zawsze miasto w najwyższym stopniu malownicze, zabudowane w poważnym stylu, strojne w wyskakujące liczne wieżyce. Ciemne jedne nad drugiemi piętrzące się domy, otaczały wązkie ulice, co w owych wiekach ciągłych wojen, zabezpieczało miasto od niespodziewanego napadu nieprzyjaciela.

Z postępem czasu, okazała się potrzeba rozszerzenia obrębu miasta. Łaguny nad Arno zabudowano od jednego krańca do drugiego, i część na prawem brzegu leżąca, któréj pałac Pitti największą stanowi ozdobę, połączona została. Nareszcie trzecia dzielnica, obejmująca Santa Croce i Santa Maria Novella, weszła w obręb miasta i stanowi najważniejszą jego część. Otaczają ją jeszcze niedogodne i stare wały, które bezwątpienia ze względu na obecne okoliczności i następnéj zimy nie doczekają.

Rada miejska Florencji, od pół roku jest już niezmiernie czynną, i krząta się z zapałem nad rozmaitemi ulepszeniami w mieście. Część więc wałów, zmieni się w obszerne bulwary i publiczne ogrody. Różne też ulice ulegną przekształceniu, mianowicie w okolicy pałacu Pitti, którego rysunek zamieszczamy. Wspaniały ten gmach, po odsłonięciu go od zacieśniających budowli i uliczek, przedstawi się w całéj majestatyczności, i służyć będzie za rezydencję Wiktorowi Emanuelowi, oraz rodzinie i dworowi królewskiemu.

Dobrze by tylko było, aby przy zapale do przekształceń i udogodnień, pamiętać, iż Florencja leży nad Arno a nie w Sawannach amerykańskich, i że stary historyczny środek miasta, którego nikt nie jest zdolny zaimprowizować, winien być oszczędzony jak relikwja, od wszelkiéj zmiany.

Po długich i żarliwych rozprawach, zgodzono się, aby wielka sala starodawnego pałacu *pięciuset*, służyła tymczasowo za miejsce obradowania izby deputowanych. Bezwątpienia w całéj Florencji niema sali równie bogatéj we spomnienia, któraby na ten cel odpowiedniéj służyć mogła. Ale ze względu praktycznego, nie jest ona zbyt dogodną, i w nagłéj potrzebie, tylko czasowo użytą być musi, dla uniknienia ogromnych kosztów, gdyby chciano trzymać się pierwotnego planu, przerobienia klasztoru świętego Fircze. Nawet w sali pięciuset, jest wiele do przerobienia, ażeby ją ogrzać i oswietlić dostatecznie; a byłoby jedynem życzeniem, by pan budowniczy wziął się do dzieła z poszanowaniem tylu pamiątek, i aby barbarzyńską ręką, nie uszkodził tego pięknego gmachu.

Dla senatu zostało inne daleko wygodniejsze miejsce wynalezione, to jest znany pałac dwóchset. *Stary pałac*, przeznaczony jest na biura ministerjum spraw zagranicznych, a ministerstwo wojny, obejmie seminarjum Arcybiskupie; ministerstwo oświecenia, osiądzie w części pałacu Picardi, w którym istniejąca Florencka Akademja la Crusca, biblioteka i inne zakłady nieporuszone zostaną. Ministerstwo skarbu, zajmie Cassino Medyceuszów, piękny budynek w środku ogrodu na ulicy Cavur stojący. Franciszek Medyceusz nie marzył zapewne, iż kiedyś siedziba jego ulubiona, otrzyma takie przeznaczenie. Niegdyś miał on tu tajemne schadzki z piękną wenecyjską Bianką, któréj swemi wdzięcznemi blad włosami i niebiańską pięknością, udało się ponury wzrok syna Florencji, zakląć i zaczarować.

Moglibyśmy wymienić cały szereg pałaców i budynków, które w téj chwili z największym pośpiechem odświeżają się i przerabiają, na przyjęcie rozmaitych biur i władz... Lecz dla czytelników oddalonych, lub którzy nie byli nigdy w Florencji, nie miałoby to interesu. Powiemy więc tylko na zakończenie tego pobieżnego rzutu oka na dzisiejszą stolicę Włoch, iż wszystkie te zmiany wytężyły naturalnie, na wielką skalę zmysł i chętkę zarobku spekulantów różnych krajów, a ztąd Florencja ujrzała wiele nieznanych sobie dotychczas postaci w swoich starych murach. Przed pięcioma miesiącami, była mowa o zbudowaniu 2,000 mieszkalnych domków szwajcarskich, które zewnątrz murów miały być wystawione, ażeby choć chwilowo pomieścić przybytek ludności, mianowicie urzędniczéj z Turynu przeniesionéj. Nawet rada miejska zgodziła się na ten projekt i wyznaczyła miejsce. Ale ponieważ we Włoszech lubią dużo gadać a mało robić, dotąd nic pod tym względem nie wykonano, zostawiając czasowi rozszerzenie nowéj stolicy.

NEAPOL.

WSPOMNIENIE Z PODRÓŻY PO OBCZYZNIE.

(*Dokończenie.*—patrz N. 22).

Niestety! spóźniłem się o kilka lat. Pod nowemi rządami pozbył się Neapol swojéj sławy, swojéj oryginalnéj ozdoby. Lazzaroni przeszli w dziedzinę historyczno-poetycznych wspomnień. Szybkim krokiem zbliża się dla nich czas legend. Następne pokolenie wynajdzie pośród nich postacie bohaterskie, które otoczy blaskiem chwały. Jakiś Murillo przyszłości, z opowiadania dziadka, przedstawi je na płótnie. Któryś z bezimiennych dziś lazzaronów, wystąpi jako bohater na teatralnych deskach, jak Mazaniello. Któryś odżyje w pieśniach, jak królewicz Marko. Żeby znowu ich ujrzeć rozkrzewionych przez fantazyję ludową, trzeba by żyć jeszcze przynajmniéj lat z pięćdziesiąt. *Was im Gesang soll leben, muss im Leben untergehen*, (co w śpiewie ma żyć

musi w życiu umrzeć). Oni już zeszli ze sceny życia; rządy królestwa Włoskiego rozproszyły ich na wszystkie wiatry—ale jeszcze zbyt niedawno. Godzina podaniowéj przyszłości jeszcze nie wybiła dla tych zjadaczów makaroni, dla tych mieszkańców pod gołem niebem, dla tych wyznawców świętego Januarego, biorących wzór ze swego patrona. Jak on żył w pustyni, szanowany przez dzikie zwierzęta, tak oni żyli w Neapolu, szanowani przez cywilizację: spokojni, weseli, głodni, goli, dumni swoim bytem i o jutro nie dbający.

Już ich nie ma. Naprożno zbiegałem za niemi wzdłuż i wpoprzek Neapol. Naprożno, narażając się na to, że mnie statek odpłynie, zwiedziłem wszystkie kąty, raz, drugi i dziesiąty. W jednem tylko miejscu, przed jakimś budynkiem, znalazłem kilka grubych sosnowych belek, a na jednéj z nich półnagiego, brudnego człowieka, leżącego na wznak. Drugi nie opodal, siedział na ziemi i czegoś pilnie w koszuli szukał.

— To oni!..—zawołałem w uniesieniu radości.

Podbiegłem ku nim i illuzja znikła. Śród belek, leżały tu i owdzie narzędzia ciesielskie.

Przyznam się, że opanował mnie jakiś smutek. Czyż można, ażeby to co tak niedawno pełnem było życia, taka potężna korporacja, dzierżąca w rękach swoich losy państwa, tak doszczętnie znikła. Oczywistość mówiła mi, że niestety! tak się stało. Nie chciałem jednakże oczywistości wierzyć— zdawało mi się, że się musieli przebrać, że się okryli jakąś skórą, którą przy pierwszéj lepszéj zrzucą sposobności, i znów wystąpią w całéj swojéj nagości i świetności. Dziwaczne to przypuszczenie, kazało mi o lazzaronizm podejrzywać wszystkich Neapolitańczyków. Fantazja moja, ze wszystkich spotykanych panów zdejmowała fraki, kapelusze, zegarki, łańcuszki; ze wszystkich pań świeże suknie, kapelusze i trzewiki; ubierała je w łachmany i sadzała na kamiennych schodach kościołów, pod bramami pałaców i portykami publicznych gmachów.

Nie miałem jednakże potrzeby, czepiać się panów i pań. Neapol, pomimo rozpędzenia lazzaronich, posiada dużo obdartéj i brudnéj ludności, zagadkowe pędzącéj życie. Czyż bowiem nie jest zagadką życie człowieka, który, naprzykład, handluje ogarkami sygar? Kto ten artykuł kupuje i jaki z tego można mieć zysk? Ogarek sygara, w kraju taniego tytuniu, musi być więcéj niż tani—musi kosztować jakąś cząstkę centa, na najdrobniejsze rozbitego ułamki. Żałuję, żem potargowawszy się dla próby, nie kupił tego towaru, w ogromnéj mnogości przez mnóstwo handlarzy na każdéj ulicy Neapolu, na sprzedaż wystawianego. Nigdzie nie widziałem podobnego handlu na tak wielką skalę. Nie liczyłem, bo na to nie miałem czasu, ale myślę, że się nie omylę, jeżeli przypuszczę, że oddaje się mu czterechsetna część ludności, to jest: mniéj więcéj tysiąc ludzi, obojéj płci i różnego wieku, rozsypanych po wszystkich zwłaszcza ludniejszych ulicach i z prawdziwie kupiecką cierpliwością, oczekujących na kupców. Tajemnice ich życia, muszą być nadzwyczajnie ciekawe.

Obok tych handlarzy szczególnego rodzaju, zwróciłi na siebie moją uwagę szewcy łatający stare obuwie. Tych, jeżeli nie więcéj, to niezawodnie jest drugie tyle, co spekulantów na ogarki.

Jednych i drugich wywołuje potrzeba—„popyt," wyrażając się językiem politycznéj ekonomji. Na utrzymanie jednego handlarza ogarkami i jednego majstra do łatania podartych butów, potrzeba w przecięciu przynajmniej stu takich, co dają im zarobek i sposób do życia. Wyobraźmyż sobie tych stu: co to za nędza prowadzić ich musi do koszyka nędzarza-kupca i do stołeczka nędzarza-rzemieślnika!.. co za nędza otaczać musi, te pyszne pałace i wille, deptać po tym bruku z wulkanicznéj lawy; ocierać się o te marmury gmachów, uśmiechać się trupim uśmiechem, do tego słońca tkwiącego wspaniale śród szafirów nieba włoskiego!

— Rozpędzono lazzaronów, ale nie wypędzono nędzy—pomyślałem sobie. Zniszczono skutek, lecz pozostawiono przyczynę.

Więc lazzaroni egzystują, tylko rzeczywiście, jak przypuszczałem—przebrani, i to nie we fraki, ale w pozór handlarzy i rzemieślników. Więc i cieśle muszą być także lazzaronami— i oni i wiele innych, którzy niby zatrudnieni, snuli mi się przed oczami.

Zrobiwszy to odkrycie, nie miałem czasu wdać się w poszukiwania, bo mi Węgier począł kłaść w ucho.

— Za godzinę statek odpłynie...

Następnie:

— Za trzy kwandranse statek odpłynie...

Niecierpliwiły mnie te uwagi, których słuszności nie mogłem zaprzeczyć. Zaczęła mnie żywo interesować kwestja neapolitańskiéj nędzy, kwestja brzemienna mnóstwem polityczno-społecznych następstw. Zajrzałem jéj w oczy, zacząłem przez pół domyślać się przyczyn, zaciekawiłem się nią; jakże nie miał niecierpliwić mnie Węgier, któremu zachciało się czarnéj kawy. Dla czarnéj więc kawy, musiałem dać za przepadłe czasu minut dwadzieścia, któreby mnie—kto wie, do jak ważnego doprowadzić mogły odkrycia.

Czarna kawa dała mi sposobność przypatrzenia się czarnym oczom prześlicznéj Włoszki, uśmiechającéj się do jakiegoś młodego oficerka i jego psa. Prawda, że jak oficer tak i pies zasługiwali na uśmiech pięknéj kobiety, która za kontoarem, nalewając koniak do malutkich kieliszeczków, wyglądała jak Heba, rozlewająca nektar bogom olimpijskim. Nalewając, do nikogo się nie uśmiechała, tylko do młodego oficera. Pomiędzy nią a nim, pośrednikiem był duży, czarny z gatunku ternewów pies. Chodził od niego do niéj, a od niéj do niego, i dostawał gratis uśmiechy i kawałeczki cukru. W tem musiała być jakaś tajemnica... romansowa.

Nieznośny Węgier!.. Tylko co zacząłem wgłębiać się w tajemnicę i w oczach Włocha i Włoszki czytać historję romansu, on mnie krzyknął w ucho:

— Już czas...

Nie mogłem więc dokładnie rozpatrzeć się w romansie, pod niebem włoskiem. Zerwałem się, rzuciłem Hebie kilkadziesiąt centów; szybko przebiegliśmy wybrzeże Chiaja, odebraliśmy nasze pasporta, które nam w biurze komory celnéj zatrzymano, wskoczyliśmy do łódki i w kwadrans późniéj, parowiec nasz, pruł sine fale neapolitańskiéj zatoki. Neapol powoli znikał. Nowe brzegi i nowe widoki odkrywały się co moment, póki wszystko nie utonęło, w ciemnéj otchłani nocy.

— Bodaj cię!..—pomyślałem o turyście, leżąc w kabinie i rozmyślając nad wrażeniami dnia—gdyby nie twój zachwyt, byłby mnie Neapol zachwycił...

Od tego momentu, postanowiłem sobie, nigdy w niczem nie rozmiłowywać się na niewidziane.

PRZYSZŁA KRÉSKA NA MATYSKA.

STUDENCKA HISTORJA.

— A ja ci mówię, że to ten lampart Adaś, co go to zawsze chwalisz, że najlepiéj umie egzecyrkę!

— Lecz ja ci mówię mój fijołeczku, że to szczury bestje takie ci psoty wyrządzają.

— A jakże, szczury, szczury! Ty łysa pałko masz tylko oczy na swoje grządki, a zresztą na nic!

— Ha, jeśli nie szczury moja stokroteczko, to chyba Matysek, bo on bardzo lubi kiełbasy, i...

— No, no! ruszaj spać łysa pałko, ze swoim rozumem!

To mówiąc, wytrąciła pani Kacprowa pana Kacpra z alkierza, i poczęła się do nocnego spoczynku rozbierać.

Słyszę już jednak, miły czytelniku, jak się pytasz kto była pani Kacprowa? Otóż pozwól, a natychmiast zaspokoję twoją ciekawość.

Pani Kacprowa była sobie kobietą 48-letnią, wysokiego wzrostu i potężnéj tuszy, ruchliwa i porywcza choć zresztą poczciwa, czyli jednem słowem Heród baba, wiecznie z zatłuszczonym na brzuchu fartuszkiem i w czepcu z ogromnemi kryzami. Z powołania swego była pani Kacprowa krupiarką, lecz trudniła się także wielu innemi rzeczami, a głównie utrzymywaniem studentów, których obecnie aż ośmiu miała na stancji, z niemałem swem umartwieniem, bo jéj ta krzykliwa hałastra przeróżne psoty wyprawiała. Drugą osobą był pan Kacper, jak widać z imienia mąż Kacprowéj, nizki, chuderlawy, łysy i przynajmniéj o 20 lat od swéj małżonki starszy, lecz jeszcze bardzo krzepki i rzutny. Pan Kacper sługiwał dawniéj wojskowo, gdzieś jeszcze za czasów starego Napoleona, a teraz największą jego przyjemnością, było chodzić koło kwiatków i sadu. Natura pana Kacpra, o tyle zresztą była zmienioną, że podczas, gdy za młodu na armaty chodził i obce armje wojował, to obecnie został przez swą godną połowicę zawojowany, i siedział głęboko pod jéj zadeptanym pantoflem. Trafiało się jednak, iż się pan Kacper odważał płatać psie figle swéj żonie, a wtedy zawierał aljans z całą ósemką studentów, którzy mu w tym celu serdeczną dawali pomoc, za co ich pan Kacper uczył egzecyrki w ogrodzie, co było także jedną z jego największych przyjemności. Pominąwszy zresztą małe nieporozumienia, nie można było w niczem zganić małżeńskiego pożycia państwa Kacprów, i owszem kochali się nawet bardzo tkliwie, czego najlepszym dowodem, iż pan Kacper swą żonkę co chwila do jakiegoś kwiateczka przyrównywał, choć pani Kacprowa zupełnie do gwoździka, fijołka lub stokrotki była podobną, jak pięść do nosa. Koniec końców, na całym Władyszu w Przemyślu, gdyż tu była ich siedziba, słynęli państwo Kacprowie ze swéj rządności i zamożności, co zresztą nie było im trudno; bo nie mając dzieci, mało na siebie wydawali, i mogli grosz do kalety chować; ona z krup i studentów, a on z kwiatków, jarzyn i owoców.

Takie to stadło małżeńskie, prowadziło pewnego wieczora rozmowę, któréj podsłuchany koniec powyżejśmy przytoczyli. Kwestją sporną był tajemniczy psotnik, który już od dwóch tygodni ze spiżarki pani Kacprowéj, to kiełbasy, to owoce, to inne różne przysmaki wyjadał. Pan Kacper, stojąc w obronie swych aljantów, studentów, utrzymywał głównie, iż to szczury tak sobie po śpiżarni gospodarują; lecz pani Kacprowa podejrzywała jednego z największych ulubieńców swego małżonka. Otóż ztąd poszła sprzeczka, w skutek któréj wyleciał pan Kacper z alkierza.



Wszelki duch! Cóż takiego zawołali państwo Kacprowie,—(str. 204, szp. 2). (Rysował Kostrzewski—wycięła na drzewie p. Zofja).

— Ale przekonam ja się jutro, co to za psotnik! wołała jeszcze pani Kacprowa. Zobaczemy czy Matysek.

Trzeba zaś wiedzieć, iż ze wszystkich studentów, podobał się pani Kacprowéj tylko jeden Matysek, którego dla przychlebności koledzy *lizuniem* nazywali.

— I jakże to zrobisz? mój gwoździku. Czy go weźmiesz na lep, czy na sidełka? zapytał pan Kacper z drugiéj izby.

— Postawiłam Magdę w sieni za żarnami. Jeżeli to który z tych szkodników, to ona go już wypatrzy. Ale jakim sposobem mógłby się on tam zakraść? Drzwi zawsze na kłódkę zamknięte... Chyba sobie bestje kluczyk dorobiły...

Jeszcze tych słów nie domówiła pani Kacprowa, gdy nagle do izby wpadła służąca Magda, blada jak trup i dysząca z przestrachu.

— Wszelki duch! Cóż takiego! zawołali państwo Kacprowie, oboje razem.

Magda nie mogła przyjść długi czas do słowa; po długiéj chwili wystękała nareszcie, że się jéj we drzwiach od sieni okropny strach pokazał, że przyszedł od ogrodu i był najprzód maleńki jak główka kapusty, a potem coraz rósł i rósł...

Pan Kacper zniecierpliwił się i nie chciał już daléj słuchać, bo nie wierzył w strachy. Jakoż namówił żonę, aby wzięła światło i poszli tak oboje ra-

zem szukać stracha i zaglądać do spiżarki czy też co nie ruszyło. Nie było nigdzie ani śladu żadnego ducha lub stracha; lecz gdy pani Kacprowa otworzyła śpiżarkę, to aż krzyknęła z zadziwienia, bo znowu... sporego kawałka kiełbasy brakowało. Pan Kacper pokręcił na to głową i pomyślał sobie ze smutkiem, że to w istocie studencka musi być sprawka. Jakoż zajrzał do izby, gdzie stali studenci, lecz tam wszystko w głębokim śnie było pogrążone; ośm zdrowych piersi chrapało jak organy, i tylko sam księżyc chodził po rozrzuconych na stole skrypturach.

Dla państwa Kacprów, a osobliwie dla Magdy, mogła się ta cała historja wydać dziwną; lecz gdyby jeszcze chwilę przeczekali, to mogli się byli o wszystkiem dowiedzieć. Zaledwie bowiem pokładli się do snu, uchyliły się drzwi od studenckiéj izby, i wysunął się przez nie strach, cały owinięty w białe prześcieradło. Strach ten przeszedł ogrodem aż pod małe zakratowane okienko od spiżarni, przez które wpadało jasnym strumieniem księżycowe światło, oświecając wewnątrz ściany, przeróżnemi wiktuałami obwieszone i poobstawiane. Otóż pod tem okienkiem leżała długa żerdka, z ogrodniczemi nożycami i koszykiem, którą pan Kacper wczesne owoce z drzew zdejmował. Biały strach podniósł te nożyce, spiął się do okienka, a wyciągnąwszy niebawem przez nie spory kawałek schaba w koszyczku, zniknął napowrót w studenckiéj izbie. Gdy przechodził przez ogród, oświecił mu księżyc całą twarz... Nie był to nikt inny, tylko ulubiony pani Kacprowéj Matysek.



Tutaj, za temi czarodziejskiemi kołami, — (str. 206, szp. 1).
(Rysował Kostrzewski—wycięła na drzewie p. Zofja).

Na drugi dzień była niedziela. Pani Kacprowa nie posiadała się ze złości, skoro się przekonała, że oprócz kiełbasy i kawałek schabu przez tę noc ubyło. Do tego nawet stopnia wpadła w passję, iż prócz Matyska, któremu dała szklankę cienkiéj kawy (co zresztą było objawem niezwykłéj łaski), wszystkim swym studentom, mniéj niż zwykle mleka na śniadanie wymierzyła. Pan Kacper nic nie mówił, lecz za to chodził to do ogrodu, to pod okienko od śpiżarni, i snać miarkował coś, bo się bardzo pilnie wszystkiemu przypatrywał, a pomyślawszy chwilkę, zatarł ręce i nawet się uśmiechnął.

Gdy po nabożeństwie chopcy z hałasem wrócili, zastali pana Kacpra w wybornym humorze: namówił ich zaraz na ogromną mustrę i wyruszyli wszyscy do ogrodu. Chłopaki nigdy się tak jeszcze nie ubawili jak tym razem, gdyż p. Kacper uzbroił ich wszystkich w tyki od fasoli, i wymyślał różne ruchy i marsze, manewry, zasadzki i ataki, a wszędzie osobiście dowodził, narażając się odważnie na ciosy nieprzyjaciela. Skoro już chłopcom pot kroplisty na czoła wystąpił, zakomenderował p. Kacper „do nogi broń" a wystąpiwszy przed front zapytał:

— A co będziecie po południu robić?

— Idziemy na piłkę! odpowiedziała armja jednogłośnie.

— Kiedy tak, rzekł p. Kacper, to wam muszę już teraz rozkaz dzienny ogłosić. Oto w głowach mojéj żony i Magdy urodziły się podejrzenia, iż któryś z was wynosi w bardzo zręczny sposób wędliny, kiełbasy i inne przysmaki ze śpiżarki. Ja, jako wasz dowódzca, dbały jestem o wasz studencki honor, i nie mogę przenieść na sobie, aby takie podejrzenie długo istniało. Postanowiłem zatem roztrzygnąć tę sprawę dziś wieczór, a użyję do niéj pewnego sposobu, któregom się od jednego czarownika w Hiszpanji nauczył. Wszyscy pójdziemy do próby, a na kim się prawda wykaże, ten zostanie ukarany. Pamiętajcie więc, abyście o ósméj godzinie byli już wszyscy w domu. Rozumiecie?

— Rozumiemy, odpowiedziała armja.

— A więc teraz, „lewo wtył, marsz!" zakomenderował p. Kacper i zapędził do obiadu chłopaków, którzy byli nadzwyczaj uradowani, a jeszcze bardziéj ciekawi na wieczorne sztuki czarnoksięzkie. Jeden tylko Matysek miał coś nos na kwintę spuszczony, lecz i on się wnet rozweselił, bo sobie pomyślał: Co mi może zrobić p. Kacper? On będzie takim samym czarnoksiężnikiem jak ja strachem! Nie łatwo mię w pole wywiedzie i nic się nie dowie.

Gdy już chłopcy na piłki wybiegli, zabrał się pan Kacper do przyrządzenia swéj sztuki czarnoksięzkiéj. Wziął tedy najprzód wieprzowy pęcherz, wydął go dobrze i osmarował naokoło sadzą, włożył go potem do garnka, nakrył garnek ściereczką, i wszystko to postawił na środku izby na stole. Około tego stołu, narysował p. Kacper różne koła i kółka, krzyże, krzyżyki i inne przedziwne nibyto czarodziejskie znaki i niby święconą kredą. Na boku zaś postawił miseczkę z okowitą, do któréj garsteczkę soli dosypał. Pani Kacprowa śmiała się z tego wszystkiego, nareszcie i fukała, lecz stary wojak prosił ją tylko o sekret, odpowiadał ciągle; zobaczysz moja werbeńko, jak to oliwa na wierzch wypłynie! i czekał ze swemi przyrządami spokojnie na chłopców.

Zaledwie ósma wybiła, zaroiło się w sieni, i ciekawi studenci stawili się na czarodziejską sztukę.

Nawet Matysek przyszedł dość wcześnie, choć ostatni, bo miał wprawdzie troszkę boja, lecz jeszcze bardziéj był ciekawym.

Pan Kacper przystąpił do rzeczy: zasłonił okna i zapalił w miseczce okowitę, która żółtym buchnęła płomieniem, a wziąwszy mały patyczek do ręki, stuknął. Na dany znak weszli wszyscy do izby, niewyjąwszy pani Kacprowéj i Magdy; żółte światło oblało ich twarze, i wszyscy się przerazili spojrzawszy po sobie, bo wyglądali jak trupy. Z przerażenia tego skorzystał czemprędzéj p. Kacper, i tak jął mówić uroczystym głosem:

— Tutaj za temi czarodziejskiemi kołami i znakami, które są kredą na Trzech Króli święconą narysowane, stoi garnek, a w tym garnku jest zaczarowany czarny kogut. Wszyscy po kolei musicie tu przystępować i dotykać ręką koguta, a kto z was jest winny, kto z was kiełbasy z śpiżarki wyciągał, pod tego ręką zapieje zaczarowany kogut.

Na to wezwanie wystąpiła pierwsza p. Kacprowa a za nią wszyscy, i każdy z kolei wsuwał rękę pod ściereczkę i dotykał mniemanego koguta. Matysek zląkł się cokolwiek na razie, lecz potem pomyślał sobie: Oho, nie taki ja głupi! Chcecie, żebym ja dotykał ręką koguta? Otóż właśnie go nie dotknę, to pewnie nie zapieje! I uczynił tak przebiegły chłopak jak pomyślał: włożył wprawdzie rękę pod ściereczkę, lecz nie dotknął się mniemanego koguta i tak napowrót odszedł. On był ostatni. Jakoż zaraz po nim zawołał p. Kacper, aby przynieśli świecę i zakomenderował na chłopców do frontu, a gdy się uszykowali, nakazał im podnieść ręce do góry. Wszyscy podnieśli. Wtedy przystąpił p. Kacper do Matyska i wskazał go jako psotnika. Chłopak pobladł jak ściana. Wówczas wyrzucił p. Kacper z garnka sadzą powalany pęcherz i tak się odezwał:

— Jak widzicie nie jest to kogut, lecz pęcherz posypany sadzą. Kto ma czyste sumienie, ten się go dotknął śmiało i ma czarną rękę. Jeden tylko Matysek nie ma czarnéj ręki, gdyż bał się dotknąć koguta, a bał dla tego, bo ma nieczyste sumienie. On jest sprawcą wszystkiego, on udawał stracha, on wyciągał kiełbasy i wędliny ze śpiżarki.

Ze zdumieniem spojrzeli wszyscy po sobie, i w istocie wszystkich ręce były czarne, tylko nie Matyska! Na takie dowody nie było co odpowiadać, więc przyznał się Matysek do winy i opowiedział wszystko, jak było i jak za pomocą żerdki z nożycami, wędliny przez okienko dobywał. Na złagodzenie swéj winy dodał tylko tyle, że wyciąganych przysmaków sam nie zjadał, lecz dawał część ubogiemu koledze, który był *paterfamiliasem* w klasie, a który mu za to podpowiadał i dobre dawał noty.

Po takiem zeznaniu, złożono sąd domowy i przyniesiono leszczynowy patyk... Ile tam padło plag koleżeńskich, o tem Matysek nigdy późniéj nie wspominał; to jednak pewna, że przestał być tak przebiegłym i łakomym, a stawszy się późniéj porządnym człowiekiem, przypominał sobie często przysłowie: *Przyszła kréska na Matyska.*

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI.

(*Dokończenie.*—Patrz Nr. 24).

Mimo niezmiernie skromnéj powierzchowności, mimo nadzwyczajnego umiarkowania, z jakiem rozprawa ta napisaną była, mimo zbytniéj nawet względności, dla niektórych uprzywilejowanych wierszorobów, jak np. dla Szymanowskiego, onego do obrzydliwości wymuskanego przerabiacza Monteskiuszowéj prozy na wiersz polski, uchodzącego wówczas jeszcze za ideał dobrego smaku; rozprawa ta zrobiła ogromne wrażenie i wywołała zapalczywą walkę *Klasyków* z *Romantykami*, która u postronnych narodów dawno już była przebrzmiała. Koryfeusze zastępu czciciele *dobrego gustu*, chcieli zrazu wyniosłą pogardą zabić nieproszonego intruza, który z nowemi, dzikiemi, nieprzykrojonemi wedle Boala pojęciami, wdzierał się do świątyni, któréj dotąd oni sami tylko byli kapłanami. Ale taktyka ta nie pomogła. Najgłębsi myśliciele owego czasu, zwrócili uwagę na rozprawę Brodzińskiego, i niektórzy, a między niemi Jan Śniadecki, głośno wypowiedzieli jéj pochwałę. Młodsze pokolenie pisarskie z zapałem pochwyciło rzucone w niéj myśli, a z właściwą młodości żywością, zostawiając po większéj części daleko poza sobą granice umiarkowania, zażarcie uderzyło na klasycyzm i dotychczasowe powagi. Pogardliwa ironja, którą za główną broń obrali sobie klasycy, jątrzyła jeszcze bardziéj tę walkę. Widząc na co się zaniosło, Brodziński niesposobny do podobnego boju, usunął się na stronę i nieustając w pracy, patrzał jak rzucone przezeń ziarno, wśród burzy wschodziło i dojrzewało. Nareszcie walka zaczęła słabnąć i ucichła w końcu. Wiemy, przy kim zostało zwycięztwo, bo od rozprawy Brodzińskiego *O klasyczności i romantyczności*, liczy się właściwie początek nowéj epoki literatury polskiéj.

Niedługo po napisaniu téj rozprawy, Brodziński porzucił służbę w Komissji Spraw Wewnętrznych, i wyłącznie poświęcił się zawodowi naukowemu. Zaraz w r. 1818 został nauczycielem wymowy i poezji w konwikcie ks. Pijarów na Żoliborzu. W roku 1821 wezwany został przez Komissją Wyznań Religijnych i Oświecenia, na zastępcę profesora w Liceum warszawskiem. W tymże jeszcze roku przedstawił Komissji Oświecenia plan wykładu historji krytycznéj literatury polskiéj, który to plan Komissja Oświecenia w zupełności przyjęła, i uznała potrzebę otworzenia nowéj dla tego przedmiotu katedry przy uniwersytecie warszawskim, na którą powołała Brodzińskiego. Zachodziła atoli w téj mierze trudność, z powodu, iż Brodziński nie posiadał dyplomu na żaden stopień akademicki, czego wymagał koniecznie regulamin uniwersytecki. Udawał on się, za pośrednictwem krewnego swojego księdza Janowskiego, do akademji krakowskiéj z prośbą, czyby nie mógł tam uzyskać stopnia choćby magistra, oświadczając gotowość napisania osobnéj rozprawy dla osiągnięcia tego zaszczytu, chociaż mnogie już jego prace chlubnie znane i cenione były w kraju, i chociaż Towarzystwo Przyjaciół Nauk już go było wezwało do swego grona. Tytuły te nie zdały się być dostateczną rękojmią, aby stopień magistra bez uchybienia sobie, mógł się przy nich pomieścić, i *Alma Mater* krakowska odmówiła najniższego nawet stopnia w hierarchji swych godności, najznakomitszemu na polu współczesnéj literatury mężowi. Antyromantyczne jéj usposobienie, głównie zapewne przyczyniło się do téj odmowy. Mniéj skrupulatnym na szczęście okazał się uniwersytet warszawski, który w roku 1820 mianował Brodzińskiego swoim profesorem tymczasowym, w roku 1823 pierwszym sekretarzem, a w roku 1826 profesorem stałym. W tymże roku dla odetchnięcia i poratowania nadwątlonego zdrowia, pojechał Brodzińsk

za granicę i był w Paryżu, w Szwajcarji i we Włoszech. W roku 1829 został profesorem radnym, a następnie jeneralnym szkół wizytatorem. Po zamknięciu uniwersytetu, otrzymawszy pensją emerytalną, oddał się tembardziéj pracom literackim, w których i obok profesorskich zatrudnień, nie ustawał ani na chwilę. Oprócz wyżéj już wspomnianego *Wiesława*, zostawił on niemało utworów poetycznych, odznaczających się cechami i dążnością, które wskazaliśmy wyżéj; do téj kategorji da się zaliczyć i przekład *Cierpień Werthera;* trudniéj sobie wytłumaczyć przekład wierszem dwóch lichych trajedji z francuzkiego: *Templaryusze* Raynouard'a i *Abufar* Ducissa. Słusznie powiada w biografji Kazimierza Dominik Cezary Chodźko, że „chyba sama tylko szlachetność i zacność myśli w tych trajedjach zawarta, spółczucie w czystéj Brodzińskiego duszy znaleźć potrafiła." Przekład łacińskich elegji Jana Kochanowskiego, jest znakomitym wzorem prac tego rodzaju. W prozie, wysokiéj wartości, mianowicie na ówczas, jest cały szereg rozpraw Brodzińskiego, będących po większéj części dalszem rozwinięciem, dopełnieniem myśli zawartych w rozprawie: *O klasyczności i romantyczności.* Takiemi są np. rozprawy: *O poetach i literaturze Niemców. O literaturze Słowian. Do Żelisława o romantyczności. O narodowości. O Barbarze, trajedji Felińskiego. O dążeniu literatury polskiéj. O „Jutrzence" i „Noworoczniku" Odyńca. O Fauście i Twardowskim. Listy o polskiéj literaturze* i wiele innych z niemniéj trafną i piękną dążnością. Oprócz tego, już jako emeryt, dokonał przekładu *Dziejów starego* i *nowego testamentu,* według wydania T. Deroma, w 2-ch tomach; tłumaczył też *rękopism z wyspy Św. Heleny. Wspomnienia* jego zostające w rękach rodziny, nie są dotąd publiczności w całości znane. Również z *Dzienniczka wojskowego,* znanych jest tylko kilka kartek, przepisanych ręką p. Holly, brata żony Brodzińskiego. Zaginął też jego *Kurs prelekcji uniwersyteckich,* który w rękopiśmie stanowił dwa spore tomy in 4-to. Mnóstwo wreszcie prac drobniejszych, zamieścił w różnych pismach czasowych, a mianowicie w *Pamiętniku Warszawskim* i w *Magazynie Powszechnym,* do których redakcji należał. Do rzędu tych prac zaliczyć należy kilkanaście krótkich biografji znakomitych Polaków i cudzoziemców. Na polu dramatycznem, oprócz przekładów dwóch wyżéj wymienionych trajedji z francuzkiego, przełożył jeszcze wierszem z włoskiego operę *Włoszka w Algierze* i z niemieckiego komedją Kotzebuego *Wolny Mularz,* a w własnoręcznym jego spisie prac własnych, znajdujemy jeszcze wymienioną komedyjkę: *Szczęśliwe oszukanie,* która zaginęła. W *Pamiętniku Warszawskim,* zamieścił niektóre sceny z *Marji Sztuart* Szyllera.

W roku 1825, mając lat 34, ożenił się był Brodziński z panną Holly, z którego związku pozostała jedyna córka Karolina. Mimo szczęśliwego pożycia małżeńskiego, mimo licznych przyjaciół, których mu jego zasługi i nadzwyczaj miły w pożyciu charakter jednały, Brodzińskiego dręczył jakiś wewnętrzny, głęboki choć łagodny smutek. Czuł on zdaje się stan swojego zdrowia i niepokoił się o przyszłość najbliższych sercu swemu istot. Jakoż zdrowie jego coraz się pogorszało. W r. 1834 z porady lekarzy, pojechał dla rozrywki i odetchnienia do Krakowa; zkąd wróciwszy do Warszawy, w następnym znów roku wybrał się do kąpiel, z silnie już rozwiniętą chorobą piersiową. Ale nie było już dla niego ratunku, i 10 października 1835 roku skonał w Dreznie, twórca nowéj epoki w literaturze polskiéj, zdala od ziemi, którą tak ukochał. Śmierć jego była cicha, spokojna, pełna chrześcijańskiéj łagodności i rezygnacji, którą całe jego odznaczało się życie. Daleki od rodziny, o tyle był szczęśliwy, że znalazł przy sobie przynajmniéj rękę przyjaciela, która mu zamknęła powieki. Przyjacielem tym był Antoni Edward Odyniec. Nie możemy też lepiéj zakończyć tego krótkiego życiorysu, jak zamieszczając w całości list Odyńca, pisany w kilka dni po śmierci Kazimierza do pani Lewockiéj, jednéj z przyjaciółek zmarłego.

„Dopełniając przypadłego na mnie obowiązku, przebacz Pani, iż ją jako blizką znajomą i przyjaciółkę rodziny Kazimierza z Królówki, za pierwszą powierniczkę smutnéj wiadomości obieram. Podobało się Bogu wezwać do siebie po nagrodę w lepszym świecie sprawiedliwego, cnotliwego człowieka. Zacny Kazimierz skończył ziemskie cierpienia i smutki d. 10 października, w sobotę o godzinie 10 wieczorem (w rocznicę urodzin swéj córki), a skończył tak spokojną, tak łagodną śmiercią, iż ja świadek jego skonania, ze czcią patrząc na niego w téj uroczystéj godzinie, żałować go nawet nie śmiałem, i tylko sobie samemu, podobnéj kiedyś śmierci życzyłem. Kto tak jak on żył i umierał, ten nie godzi się wątpić, jest już tam od nas szczęśliwszy! Ale czuję aż nadto, że chyba sam Bóg pocieszyć zdoła zacną jego żonę i dziecię. Wiadomość o tem zawsze dla nich równie bolesna, mogłaby stać się jeszcze boleśniejszą, gdyby się jéj niespodzianie lub z ust obojętnych dowiedzieć miały. Możesz im Pani jak najsumienniéj zaręczyć, że co tylko sztuka i troskliwość lekarzy i przyjaciół uczynić mogły, wszystko to było użyte, aby go przy życiu utrzymać i stan jego cierpień osłodzić. Ale któż się woli Boskiéj sprzeciwi? Choroba jego wolną była od wszelkich gwałtownych boleści, powolne tylko ubywanie sił życia postęp jéj oznaczało.

„Spokojność i łagodność duszy i charakteru, nie odstąpiły go ani na chwilę; z pokorą i zaufaniem, oddawał się woli Bożéj. O żonie i córce wspominał często, i zawsze z największą czułością; ale gdy mu niektórzy radzili, aby je przyzwał do Drezna, nigdy na to zgodzić się nie chciał. Owszem w wigilją śmierci, odebrawszy list od żony, która go sama o to prosiła, polecił mi był odpisać w jego imieniu, prosząc jak najusilniéj, aby tego zamiaru nie przyprowadzała do skutku. Uspokój ją więc Pani w tym względzie, ażeby się tą myślą nie dręczyła daremnie. Bytność jéj tutaj niczby nie pomogła, a byłoby przeciw woli jego. Ostatnia moja z nim rozmowa była o paniach K. (Kickich) Teresie i Natalii, które, jak mnie powiadał, żona jego w listach swoich, *Aniołami swemi* nazywała. Z czułością przypominał ich dla siebie życzliwość i przyjaźń, i chociaż tak blizkiéj śmierci nie przeczuwał, mówił jednakże: Gdyby mi tu nawet skończyć przyszło, umierałbym z tem przekonaniem, że byłyby zawsze pociechą i opieką mojéj biednéj żony i dziecka. Te są prawie jego własne słowa, ile przypomnieć mogę: przesyłam je jako spuściznę, po prawdziwym ich przyjacielu. W wigilję śmierci, uczuł się weselszym i swobodniejszym niż kiedy. Drzemiąc napół w nocy, miał bardzo piękne widzenie, o którem sam z wielkiem wzruszeniem powiadał, i które mu wielką radość i spokojność przyniosło. Widział przed sobą

Zbawiciela w białéj szacie, który uśmiechając się łagodnie, rękę ku niemu wyciągnął. Widzenie to i list żony, w którym mu o troskliwości przyjaciół donosiła, były osłodą ostatnich chwil jego. Z wdzięcznością dziękował Bogu i umarł z zaufaniem, że Bóg i przyjaciele, nie opuszczą osieroconéj rodziny i pocieszać ją będą. Pokój duszy sprawiedliwego! Oby tylko pokój i pociechę Bóg wlać raczył w duszę bolejących po nim. Pogrzeb odbył się 12 października. Wszyscy znajomi, oddali mu ostatnią posługę.

Na Drezdeńskiem przedmieściu Friedrichstadt, staraniem przyjaciół zmarłego, niebawem po jego śmierci, wzniósł się skromny pomnik, w Numerze 24 Opiekuna Domowego wiernie przedstawiony w rysunku, z tym prostym napisem:

KAZIMIERZOWI BRODZIŃSKIEMU

Ziomkowie.

Ur. 1791 † 1835 Paźdz. 10.

JODŁA.

Jodła należy do drzew pierwszéj wielkości, dorasta bowiem do 60 łokci wysokości i do znacznéj dochodzi grubości. Jest to drzewo bardzo pospolite w kraju naszym, tam szczególniéj, gdzie zaczyna być górzystym; wąwozy Ojcowa, Pieskowéj-Skały i Góry Karpackie, wspaniale są ozdobione niemi, nibyzielonemi baldachimami, bez początku i końca, zwieszającemi coraz szerzéj ku ziemi, swe żywe festony.



Jodła.—(Rysował i wyciął na drzewie Kazimierz Kuczyński).

Igły jéj są pojedyncze, spłaszczone, tępe, z końca wcięte; na stronie spodniéj dwa białe paski wzdłuż idące; ma osadzone z boków gałązki w dwa rzędy, nakształt ząbków grzebienia. Rośnie w strefie południowéj, na gruncie żyznym, głębokim, miernie wilgotnym, najczęściéj w pomięszaniu z innemi rodzajami drzew. Wyrasta ona prosto, z wierzchołkiem jak strzała; gałęzie wkrąg piętrami osadzone, rozłożyste, tworzą koronę okrągłą, w wierzchołku zaostrzoną. Korę ma gładką i siwawą; igły gęste, mocno zacieniające, wyziewają wilgoć lipką, słodką, która zwabia pszczoły i osy. Po trzech latach, igły żółkną i opadają. Kwitnie w maju, dojrzewa we wrześniu lub październiku; po dojrzeniu szyszka roztwiera się, orzeszki spore ze skrzydełkiem kruchem spadają wraz z łuszczką szyszki. Chcąc otrzymać nasienie, należy szyszki zebrane pod jesień, przechowywać na poddaszu przewiewnem; na wiosnę z łuszczek oczyścić i zaraz wysiać, gdyż długo chowane, utracają własność kiełkowania. Po kilku tygodniach wysiane nasienie, wschodzi z kilku igłami, w początkach wzrost ich powolny potrzebuje koniecznie cienia i zasłony od wpływów zmian powietrza. Po ośmiu latach, jodła nabierając szybkiego wzrostu, wymaga zupełnego przystępu światła i powietrza. Jodła rosnąca pojedynczo, wydaje nasiona w trzydziestym roku życia, w lasach późniéj; zupełnego zaś wzrostu i dojrzałości dochodzi dopiero w sto lat; żyć jednak może dłużéj i nabiera ciągle grubości.

Jodła w użytkach, nie wyrównywa sośnie; drzewo ma białe, giętkie, łupkie, dosyć trwałe, jest przydatne do budowy suchéj i do różnych wyrobów; w deskach i balach łatwo pęka i paczy się; na opał i na węgle dobre, lecz niewyrównywające sośnie. Z tworzących się guzów pod korą, na wiosnę wydobywa się terpentyna, a z szyszek młodych, przez wygotowanie ich, otrzymuje się olejek terpentynowy.

Jodła kształtem swym i gęstwiną zacienionéj swéj kory, nie jest tak wesoła jak wyniosła sosna, lecz niemniéj a może i więcéj ma wspaniałości, przedstawiając sobą wspaniały, cichy smutek. Ztąd też jedliną strojono w starożytności pogrzebowe wozy, a w powieściach i pieśniach ludowych u nas: wypadki śmierci, zabójstwa kochanek, przez zbójców kochanków, pogrzebanie zwłok ukochanych są opiewane bardzo często „śród jedliczek ciemnych, śród gęstych lasów jodłowych.”

ROZMAITOŚCI.

— Wiadomo powszechnie, że kobiety brzemienne zapatrujące się na jakąś twarz, wydają płód podobny do owéj najbardziéj na wyobraźnię działającéj postaci. Kobieta, która zapatrzy się na ładną twarz, rodzi dziecię z ładną twarzyczką; przeciwnie kobieta patrząca ciągle na brzydką twarz, ma dziecko także brzydkie. A zdaje się znowu, że życzyć by nam potrzeba więcéj ładnych twarzy, niźli brzydkich, boć ładna twarz, zawsze przyjemne wzbudza w nas wrażenia. Należy więc starannie usuwać z przed oczu kobiet wzory brzydoty, bo częstokroć wzór taki od jednego spojrzenia, utkwi głęboko w pamięci kobiety i obecny ciągle przed oczyma, daje powód do pomnażania się brzydoty. Wzgląd ten, powinienby zdaje się zasłużyć na uwagę pana fryzjera na Śto-Krzyzkiéj ulicy i poczwarne twarze maskowe, z wystawki jego sklepu, ustąpić winny miejsca jakim pięknym twarzom woskowym. Poczwary w oknie postawione, wątpię czy nęcą przychodniów do sklepu; człowiek cokolwiek wykształcony odwraca oczy od tych monstrualnych karykatur, gawiedź jedynie i dzieci, podziwiają zielone oczy, pałkowate nosy i orangutańskie policzki.

— We wsi Kramsku, powiecie Konińskim, przechowuje się piękny zwyczaj uroczystego wyzwalania na parobka. Wiejski chłopak, konkurujący o tę godność, zdaje rodzaj egzaminu z prac sielskich przed starszemi z gromady i dopiero opatrzony ich świadectwem, uważa się za rzeczywistego parobka i śmiało wstępuje do służby. Oby ten patryarchalny zwyczaj, trwał jak najdłużéj i zyskiwał zwolenników, między ludem wiejskim.

Obacz Dodatek.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Dnia 16 (28) Czerwca 1865 r.

OPIEKUN DOMOWY.

(Dodatek do Nr. 26go z dnia 28 Czerwca 1865 roku).



(Rysował Kostrzewski—wycięto w drzeworytni warszawskiéj Jana Münchejmera).

GAZETA ROLNICZA.

Pismo to wychodzi w Warszawie tygodniowo, w arkuszu podwójnym większego formatu. Cena kwartalna Złotych 6 groszy 20. Poświęcone jest przeważnie rolnictwu Polskiemu, każdy Numer zawiera illustrację rysunkową, z dziedziny mechaniki rolniczéj lub przemysłu gospodarskiego. Nadto stałym prenumeratorom, Redakcja daje bezpłatne dodatki: w książkach, mappach gospodarskich i leśnych, oraz w nasionach drzew i roślin które są rzadkością. Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych w Królestwie Polskiem, w Prusach i Austrji, oraz w celniejszych księgarniach w kraju i zagranicą.

Prenumeratorowie z Cesarstwa Rossyjskiego, jeżeli żadnego innego pisma nie odbierają w opłaconéj kopercie—winni na kopertę rocznie dołączać Rs. 2, obok powyżéj wykazanéj ceny pisma.

DZIEŁA GOSPODARSKIE

NAKŁADEM REDAKCJI GAZETY ROLNICZEJ WYDANE.

1. **Rzeczy gospodarskie,** napisał Adam Mieczyński. Warszawa 1859. Złp. 10.
2. **Uprawa chmielu,** przez Zygmunta Gawareckiego. Warszawa 1862. Złp. 2 gr. 20.
3. **Zasady leśnictwa,** dla obywateli ziemskich lasy posiadających, przez Adama Mieczyńskiego. Warszawa 1863. Tomów 3. Złp. 24.
4. **Uprawa roślin pastewnych** w Polsce i ich użytkowanie na paszę, przez Zygmunta Gawareckiego. Warszawa 1862. Tomów 2. Złp. 15.
5. **Urządzanie lasów w Królestwie Polskiem,** z ośmią rycinami, planami i mappami kolorowanemi, przez Klemensa Wydrzyńskiego. Złp. 2 gr. 20.
6. **Nasze obecne sprawy na wsi,** przez Andrzeja Mazura. Warszawa 1862. Złp. 2.
7. **Gospodarstwa zagraniczne,** przez Leona Kąkolewskiego. (Wydanie 2). Warszawa 1863. Złp. 5.
8. **Praktyczna mechanika rolnicza,** przez Doktora Hipolita Cegielskiego, ze 108 rycinami. Warszawa 1863 roku. Złp. 6 gr. 20.
9. **Gospodarz wiejski,** przez Doktora W. Webera. Warszawa 1863. Złp. 10.
10. **Pędzenie smoły i terpentyny,** z tablicą litografowaną rycin, przez Jana Turkuła. Warszawa 1864. gr. 15.
11. **O poznaniu mléczności krów,** przez Adama Mieczyńskiego. Warszawa 1864. Złp. 1.
12. **Rachunkowość Śmilańska,** przez Juljana Przygodzkiego. Warszawa 1864. Złp. 3 gr. 10.

KSIĄŻKI DLA LUDU.

NAKŁADEM REDAKCJI GAZETY ROLNICZÉJ WYDANE.

1. **Powieści dla ludu,** przez Jana Kontrymowicza, z trzema obrazkami. Warszawa 1862 Złp. 1.
2. **Włościanin Polski,** czyli gospodarstwo wiejskie, wyłożone na pytania, dla użytku mniejszych gospodarstw i szkół rolniczych, przez Zygmunta Gawareckiego (przepisane przez Radę Wychowania Publicznego, za dzieło wykładowe po szkołach rolniczych i elementarnych). Warszawa 1862. Złp. 6 gr. 20.
3. **Komornica,** czyli tajemnice życia wiejskiego, przez Walerego Wielogłowskiego. (Wydanie drugie). Kraków 1862 Złp. 5.
4. **Pszczolarz Polski,** czyli przewodnik praktyczny w zajęciach pasiecznych, zastósowany do potrzeb i pojęcia braci z ludu, przez Józefa Znamirowskiego, z 65 obrazkami (przepisane to dzieło za wykładowe po szkołach elementarnych i rolniczych). Warszawa 1863. Tomów 2. Złp. 10.
5. **Drobnostki gospodarskie,** przez Józefa Gluzińskiego. Warszawa 1860. Złp. 4.
6. **Obrona Świętéj Częstochowy,** przez Józefa Szujskiego. Warszawa 1863. gr. 6.
7. **Nauka prawdziwa o płodozmianie,** czyli wielopolowém gospodarstwie, przez Ignacego Łyskowskiego. Warszawa 1864 roku,—gr. 8.

☞ Wszyscy prenumeratorowie **Gazety Rolniczéj,** za zgłoszeniem się *wprost do Redakcji* przy Ulicy Elektoralnéj Nr 760, czy to osobiście czy przesyłając pieniądze w listach frankowanych, mają przywilej do otrzymywania wszystkich wyżéj wymienionych dzieł i książek, wedle własnego wyboru, za *pół* tylko ceny.

RODZINA

(PISMO TYGODNIOWE)

od dnia 1-go Lipca 1865 roku, wychodzić mające w Warszawie.

W naturze każdego społeczeństwa, tkwi zawsze żądza posuwania się naprzód—konieczność ciągłego udoskonalania się. Ale ten postęp, nie zawsze pewną idzie drogą. Brak mu często kiero-

wnika w pośród manowców; brak serdecznego przyjaciela pośród chłodu świata — a tym to właśnie kierownikiem, tem bratniem sercem, jest piśmiennictwo krajowe.

A działalność piśmiennictwa, jeżeli wydać ma pożądane owoce, zwrócić się musi przedewszystkiém do pierwszych zarodów społeczności; do pierwszych ogniw składających łańcuch społeczny; a tym zarodem, tem ogniwem—jest rodzina.

Owóż w celu wzajemnego porozumienia się i wpływu, wydawać będziemy od dnia 1-go Lipca r. b., pismo tygodniowe dla rodzin, a przeważnie kobietom poświęcone i pismu temu, dajemy tytuł *Rodzina*. Zawierać ono będzie następne działy:

1) Obrazy religijne i moralne;— 2) Dzieje powszechne, słowiańskie i polskie;—3) Wiadomości jeograficzne;—4) Nauki społeczne;—5) Literaturę piękną, obejmującą: powieści, poezje, utwory dramatyczne, legendy, opowiadania, życiorysy, humoreski i inne;—6) Przepisy hygieny i pedagogiki;—7) Nauki przyrodzone;— 8) Gospodarstwo domowe;—9) Przeglądy krytyczne: literatury, muzykalji, dramatyczne, sztuk pięknych i inne;—10) Kronikę bieżących wiadomości krajowych i zagranicznych;—11) Rozmaitości.

Obszerny zakres pisma naszego, dozwoli nam zarówno tak badać rozległą dziedzinę przeszłości, jak i śledzić objawy teraźniejszego życia. Usiłowania nasze, nie mogą rozbić się o obojętność publiczności.

Czy sprostamy naszemu zadaniu, czas pokaże dopiero. Oprócz szczeréj woli i dobréj chęci, innéj czytającéj publiczności, nie jesteśmy dać w stanie rękojmi, gdyż prace nasze, zaledwie może są znane niektórym zwolennikom nauk ekonomicznych i społecznych.

Z rozwojem pisma, rozszerzymy stronę jego zewnętrzną, dawać nawet będziemy illustracje i inne dodatki, dziś tworzymy skromny organ, który o własnych siłach powstaje i dalsze istnienie—całą przyszłość swoją, dobremu przyjęciu Rodzin Polskich, jedynie zawdzięczać będzie.

WARUNKI PRENUMERATY:

w Warszawie:		na Prowincji: z powodu opłaty pocztowéj:	
Rocznie	Złp. 20	Rocznie	Złp. 26 gr. 20
Półrocznie	„ 10	Półrocznie . . .	„ 13 „ 10
Kwartalnie	„ 5	Kwartalnie . . .	„ 6 „ 20

Każdy Numer, odbity na papierze formatu i gatunku jak prospekt, obejmować będzie arkusz druku z czterech kartek złożony.

Prenumerować można w Warszawie *w Składzie Głównym*, który jest urządzony w Księgarni *Nowoleckiéj* i *Spółki*, przy Ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 457 wprost kolumny Zygmunta, tudzież w znaczniejszych księgarniach Warszawskich, oraz we wszystkich kantorach pism perjodycznych.

Na prowincji, w Królestwie Polskiém, przedpłatę przyjmują wszystkie Stacje i Urzędy pocztowe, oraz znaczniejsze księgarnie prowincjonalne.

Z Cesarstwa Ruskiego, dołączając 2 ruble na kopertę rocznie, a 50 kopiejek kwartalnie, pieniądze prenumeracyjne przesyłać należy pod adresem Redakcji Nr. 765 Ulica Elektoralna w Warszawie. Kto jakiekolwiekbądź inne pismo prenumeruje i opłaca już kopertę, **Rodzinę** w téjże saméj kopercie, bez żadnéj dopłaty odbierać może.

Zagraniczne księgarnie, otrzymywać mogą pismo nasze, za zgłoszeniem się wprost do Księgarni *E. Ł. Kasprowicza*, w Lipsku, w któréj Skład Główny urządzony został.

Aleksander Makowiecki,
Redaktor i Wydawca.

W KSIĘGARNI H. NATANSONA,
oraz
W DRUKARNI JANA JAWORSKIEGO.
NABYĆ MOŻNA DZIEŁ NASTĘPUJĄCYCH:

1. **Zwyczaje i obyczaje szlachty i ludu polskiego**, zebrane z Kitowicza, Gołębiowskiego i innych Złp. 4.
2. **Dwie podróże około świata**, Idy Pfeifer Złp. 5.
3. **Wspomnienia**, F. S. Dmochowskiego od 1806 do 1830 Zł. 5.
4. **Satyryczne powieści**, wierszem, przez tegoż Złp. 3.
5. **Wybór arcydzieł literatury zagranicznéj**, przez tegoż, 2 tomy Złp. 5.
6. **Duch wiary chrześcijańskiéj**, przekład z francuzkiego, przez tegoż, Złp. 3.
7. **Dobrodziejstwa wiary chrześcijańskiéj**, przekład z francuzkiego, przez tegoż, Złp. 3.
8. **Obrazy Paska i zarysy obyczajowe**, przez tegoż, Złp. 4.
9. **Przekleństwo matki**, powieść, przez tegoż, Złp. 5.
10. **Nowe drogi**, powieść, przez tegoż, Złp. 4.
11. **Sprawa graniczna**, powieść, przez tegoż, Złp. 4.

Cena tych książek zniżona została o 40 procent od sta od pierwotnéj.

BIBLIOTEKA KLASSYKÓW POLSKICH.

Nakładem księgarni J. Breslauera pod Nr. 1771 przy Ulicy Sto-Jerskiéj, wychodzi pod tym tytułem: „Zbiór utworów pisarzy Polskich, tak złotego wieku literatury naszéj, jak epoki Stanisławowskiéj.” Jest to najtańsza publikacja polska, każdy tom 500 stronnic pięknego i ścisłego druku na dobrym papierze obejmujący, kosztuje tylko złotych pięć, a o ile który obszerności téj niedochodzi, o tyle cena jego zniżaną bywa. Dotąd wyszło dwa tomy, 1-szy obejmujący wszelkie pisma J. Kochanowskiego, stronnic 500 złp. 5; 2-gi S. Trembeckiego, stronnic 300 złp. 3 gr. 10. Następnie opuści prassę Węgierski i Szymanowski, które stanowić będą tom trzeci.

Lubo wedle poprzednich ogłoszeń, cena każdego tomu w sześć tygodni po jego wyjściu, podwyższoną być miała, jednakże pozostaje niezmieniona, do czasu ukończenia druku tomu trzeciego.

U Wydawcy Opiekuna Domowego
W DRUKARNI JANA JAWORSKIEGO.
NABYĆ MOŻNA DZIEŁ NASTĘPUJĄCYCH:

1.	**Pisma Gabryelli**, tomów 4	Złp. 40	gr. —
2.	**Listy Cześnikiewicza**, tom 1.	„ 10	„ —
3.	**Klechdy**, tomów 2.	„ 13	„ 10
4.	**O mężczyznach**	„ 4	„ —
5.	**O kobietach**	„ 4	„ —
6.	**Dwa Obrazy**	„ 4	„ —
7.	**Starosta Miłosławski**	„ 4	„ —
8.	**O zabytkach mowy ludu Polskiego**, w języku angielskim	„ 13	„ —
9.	**Podręczna Encyklopedja Powszechna**, czyli opis treści podziału i zasad wszystkich Nauk	„ 6	„ 20
10.	**Literatura nadobna**, wierszem i prozą, 1856.	„ 6	„ 20
11.	„ „ „ „ 1864.	„ 10	„ —
12.	**Cień smutku**, powieść przez Wł. Olędzkiego.	„ 8	„ —
13.	**Ptak** Miszeleta, tłomaczenie Stępowskiego .	„ 8	„ —

— Na zasadzie udzielonego mi przez Władzę pozwolenia, odbywałem w 1862 roku kurs wykładu czytania i pisania po Polsku. Od lat dawnych ucząc dzieci, ludzi dorosłych i starych, przyprowadziłem ułatwienie elementarnéj nauki do téj możliwości, że bez względu na wiek, zdolność, znajomość języka i ilość uczących się; bez syllabizowania, nie używając wcale żadnych elementarzy, abecadelników, tablic i t. p., ale odrazu z książki gdzie się ta otworzy, przygotowywałem w bardzo krótkim czasie chcących się uczyć tak, że po ukończeniu kursu wykładowego, każdy z nich sam daléj pracując, bez żadnéj już pomocy ze strony nauczyciela, doszedł do zupełnego wydoskonalenia w tym przedmiocie. O tem w swoim czasie głosiły pisma perjodyczne. Obecnie przygotowałem broszurę i uzyskałem pozwolenie Cenzury Rządowéj, do ogłoszenia jéj drukiem. W broszurze téj, wypisałem najzrozumialéj każdą lekcję i umieściłem oprócz tego instrukcję dla tego, ażeby każdy umiejący czytać, wziąwszy ją do ręki, wiedział: co ma robić i jak mniéj więcéj wykładać, aby prędko, bez mozołów, mógł wyuczyć czytania i pisania tych, którzy dotychczas jeszcze tego nie umieją.

O wewnętrznéj wartości dziełka tego, rozwodzić się nie będę, to przechodzi mój zakres, każdy sam przez doświadczenie, nabierze przekonania, jak ono jest użyteczne dla całego ogółu—dla ojców i matek, pragnących wyuczyć swe dzieci, bez żadnych mozołów—dla rzemieślników: majstrów, mających chęć wyuczenia swą czeladź domową—czeladników, chcących poświęcić godzinkę dziennie na wyuczenie młodszych braci—dla pań, mogących wyuczyć swe sługi czytania i pisania, nie wysyłając je z domu na naukę— dla obywateli, życzących oświaty rolników—dla izraelitów i t. d. słowem, dla wszystkich, a dla wszystkich.

Ponieważ dziełko to służy nie jednéj tylko wyłącznie klassie społeczeństwa naszego, ale jest konieczne dla wszystkich warstw razem; napisałem je w celu przysłużenia całemu ogółowi i jemu poświęconem zostało, słuszna zatem, aby sam ogół zajął się wydawnictwem tego dziełka, na którém położyłem bardzo skromny tytuł: „Wykład wskazujący jak należy uczyć czytać i pisać po Polsku.” Po zasięgnięciu rad; znawcy, wydawcy książek i drukarze, a szczególniéj ci ostatni, zdaniem swojem, po obliczeniu papieru, druku, drzeworytów, litografji i t. d., wnieśli, że wartość téj książki, nie powinna przewyższać Złp. 3 gr. 10.

Podając więc o tem do wiadomości, mam zaszczyt nadmienić, że wydawnictwo tego dziełka nakładem ogółu odbywać się będzie, za pośrednictwem prenumeraty, do któréj stósowne bilety przygotowałem, i te znajdują się do nabycia w Księgarniach i we wszystkich Kantorach utrzymujących pisma perjodyczne, po cenie Złp. 3 gr. 10. Ktoby wszakże miał czas i chęci zajęcia się zbiorem prenumeraty, raczy się zgłosić osobiście do mego mieszkania pod Nr. 1310 przy Ulicy Nowy-Świat, a osoby na prowincji za-

mieszkałe, zechcą odnieść się do mnie listownie franco, pod powyższy Numer, z wymienieniem ilości egzemplarzy i przysyłką za nie odpowiedniéj wartości.

Czekając poparcia ogółu, dziełko oddałem do druku dla tego, ażeby prenumeratorom, natychmiast, po opuszczeniu prasy, mogło być doręczonem.

Michał Józef Konstantynowicz.

ZAKŁAD FOTOGRAFICZNY
JANA MIECZKOWSKIEGO,
W WARSZAWIE
przy rogu Ulic Miodowéj i Senatorskiéj Nr. 496.

Posiada znaczny i wciąż zwiększający się wybór fotografji dawniejszych i nowszych znakomitości różnego zawodu, oraz kopje z najsłynniejszych obrazów i rycin, których ogółem w obecnéj chwiii jest sztuk przeszło **sto tysięcy**, które pojedynczo sprzedają się po złp. 1 gr. 20, handlującym zaś za połowę ceny. Do ogólnego zbioru w tym roku, przybywa szereg bardzo pięknych fotografji, przedstawiających **Widoki Warszawy** zdejmowane z natury, większych rozmiarów, oraz do stereoskopów. Obok tego, firma ta posiada wielki zapas wszelkiego rodzaju preparatów, jakoteż przyrządów fotograficznych najnowszych konstrukcji należycie wypróbowanych, z któremi pp. Fotografistom się poleca.— Urządzone oddzielne attelier do wykończania tyle zagranicą rozpowszechnionych portretów **mikroskopijnych**, jakoteż obszernych rozmiarów, wielkości prawie naturalnéj.— Pracujący w samym Zakładzie introligatorzy, na żądanie w każdéj chwili wszelkie fotografje oprawiają w ramy i ramki, których równie jak **Albumów**, nader obfity znajduje się dobór. (9212)

— Jeżeliby który z Obywateli Ziemskich potrzebował **Rządcy majątku**, długoletnią praktyką należycie usposobionego w zawodzie gospodarskim, mogącego co do uzdolnienia swego, oraz charakteru i sumiennego postępowania, przedstawić dostateczne poręczenie osób znanych w kraju,— a na pewność złożyć Właścicielowi kaucję w gotówce parę tysięcy rubli.—Taki z potrzebujących zechce adres swój nadesłać do Redakcji Gazety Rolniczéj lub Opieknna Domowego przy Ulicy Elektoralnéj Nr. 760.

Rządca człowiek młody o jakim mowa, gotów jest ułożyć się na tantyemę od podwyższonego dochodu. (8845)

W TYCH DNIACH OTWORZONY ZOSTAŁ

przy Ulicy Wierzbowéj, obok hotelu Angielskiego, w nowym kamiennym domku,

SKŁAD WIELKI
ORYGINALNYCH AMERYKAŃSKICH MASZYN DO SZYCIA
GRAVER'A i BAKER'A
w Nowym-Yorku.



Maszyny te szyją wszelkie materjały, zacząwszy od cienkiego muślinu, a nawet tiulu, do najgrubszéj skóry; zalecają się prostą konstrukcją, wielką trwałością, nadzwyczajną mocą, regularnością szwu, i cichością w biegu. Oprócz zwyczajnego szycia, obrębiają od najwęższego obrębka, do obrębu 6 cali szerokiego, wszywają sznurek, układają takowy, podwrębiają, układają zakładki, marszczą falbanki i bufki, haftują, przyszywają sutasz, i na takowym haftują, wyszywają tasiemką, jakoteż tasiemkę i na niéj sutaszem lamują, rygują watę bez zaprasowywania podszewki, wszywają wypustki i t. p. Nauka szycia bardzo łatwa i bezpłatna. (9210)

— W Numerze 19-tym Opiekuna Domowego, umieszczono artykuł wraz z rysunkiem **Magla pokojowego**, sprowadzonego niedawno z Pragi Czeskiéj.

Niżéj podpisany ma zaszczyt oświadczyć, iż będąc w roku 1858 w Pradze na wystawie narzędzi rolniczych, zakupił tamże w znanéj Fabryce *Borrosza*, tenże sam magiel pokojowy i takowy do Fabryki Machin Andrzeja Hr. *Zamojskiego* i wsp. jako model do Warszawy przesłał; następnie w r. 1859 w Kalendarzu Jana *Jaworskiego* wraz z rysunkiem opis takowego zamieścił. Od roku więc 1858 fabryka Machin hrabiego *Zamojskiego* takowe magle wyrabia, które tak w jéj magazynach na Solcu pod Nr 2,938, jako też w Składzie A. *Rodkiewicza* przy Ulicy Miodowéj, znajdują się do nabycia. O ile mi wiadomo, magiel ten wynaleziony został nie przez p. *Fiszera*, ale przez p. *Bożka* mechanika przy Instytucie Polytechnicznym w Pradze Czeskiéj.

w Warszawie dnia 11 Maja 1865 r.

J. Pietraszek,

Dyrektor Fabryki Machin A. Hr. *Zamojskiego* i Wsp.

(9211)

— **STOLARZOM w ogólności, a w szczególności wyrabiającym drzwi i okna do budowli,** polecamy nader praktyczną maszynkę ręczną do **wiercenia, dłubania i zarabiania czopów.** Maszyna ta wykonywa bardzo dokładnie i szybko roboty wyż opisane, oszczędza przez to wiele czasu, a tem samem koszta produkcyi.

W warsztatach naszych, może być każdego dnia w robocie widzianą.

Ostrowski i Spółka
przy Ulicy Senatorskiej obok Reformatów.

(9209)

OD REDAKCJI
OPIEKUNA DOMOWEGO.

— Powiadamiamy czytelników naszych, oraz łaskawie nadsyłających nam prace swoje do Opiekuna Domowego, że Redakcja tego pisma znajduje się w mieszkaniu Redaktora Gazety Rolniczéj w Warszawie przy Ulicy Elektoralnéj N. 760. Redaktora zastać zawsze można do godziny 9-téj rano od wschodu słońca poczynając, po południu zaś, ma się rozumieć oprócz świąt uroczystych, od ogodziny 4-téj do 6-téj.

— Rękopisma niekwalifikujące się do zamieszczenia w Opiekunie Domowym, niezwracają się, chyba tylko za wyraźnem zastrzeżeniem autora, który w takim razie dokładny swój adres w Redakcji złożyć powinien.

— Na różne zapytania, czy pismo nasze jest skłonne umieszczać ogłoszenia, oświadczamy: iż dodatek do tego Numeru, najlepszą jest odpowiedzią; każdy więc z przemysłowców, fabrykantów, rękodzielników lub w ogóle z osób życzących sobie pomieszczać ogłoszenia, może się zgłaszać do Redakcji lub Wydawcy pod Nr. 415 przy Ulicy Krakowskie-Przedmieście zamieszkałego, a ogłoszenie jego, pod temi samemi warunkami, jak w innych pismach Warszawskich, wydrukowane zostanie.

— W odpowiedzi na kilkadziesiąt zapytań: ile ma prenumeratorów Opiekun Domowy i dlaczego pod artykułami nie są umieszczane nazwiska autorów, oświadczamy:

1): prenumeratorów z górą jest 3800 na Opiekuna Domowego, która to cyfra ciągle się zwiększa,—

2): początkowo nie mieliśmy zamiaru podpisywać i nie podpisywaliśmy wcale nazwisk autorów, bo sądziliśmy, że nie podpis pod artykułem, ale artykuł sam powinien stanowić o swojéj wartości; gdy jednak wielu autorów, zwłaszcza z młodszych, żąda z naciskiem: aby ich prace nazwiskami podpisywać; zdecydowaliśmy się, w drugiem półroczu zadość uczynić tym żądaniom,— z pierwszego zaś półrocza r. b. dołączamy drugostronnie, szczegółowy spis artykułów, z wymienieniem nazwiska utorów.

— Wielokrotnie otrzymujemy listy *na koszt* Redakcji adresowane, w których prenumeratorowie dopominają się tego lub owego Numeru Opiekuna Domowego, nieotrzymanego z właściwéj stacji pocztowéj—oświadczamy: że w żadnym razie niepochodzi to z winy Redakcji lub Wydawcy. Za cóż więc karać Redakcję lub Wydawcę bezpotrzebną opłatą portorji, kiedy po napisaniu na wierzchu *„Interes Gazet”* bez zapieczętowania, taki list nas dochodzi bez żadnéj opłaty pocztowéj i zawsze pomyślny skutek otrzymuje.

SPIS PRZEDMIOTÓW

ZAMIESZCZONYCH W PÓŁROCZU PIERWSZÉM 1865 ROKU.

OPIEKUNA DOMOWEGO

I. Nauki i obrazy religijno-moralne.

II. Opisy jeograficzne i podróże.

III. Nauki społeczne.

IV. Wiadomości z nauk przyrodzonych i lekarskich.

V. Rolnictwo, rzemiosła, przemysł i handel.

VI. Powieści.

VII. Poezje.

VIII. Komedje.

IX. Podania, obyczaje i charaktery ludowe.

X. Życiorysy osób wsławionych na polu nauk i przemysłu.

XI. Rozmaitości.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Dnia 16 (28) Czerwca 1865 r.